

Robotnicza lekcja z Grudnia 1970. Rozmowa z Rafałem Wośiem

Nie zgadzam się z twierdzeniem, że dopiero kiedy inteligenci pojawili się u boku robotników, to opozycja politycznie zaczynała mieć sens. Pod względem możliwości wywierania politycznej presji Polska przed rokiem 1989 była krajem paradoksalnie dużo bardziej podobnym do Zachodu, niż się nam wydaje – mówi Rafał Woś w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Grudzień '70 z perspektywy”.

Karol Grabias: Wydarzenia na Wybrzeżu w Grudniu miały z gruntu robotniczy charakter i socjalne tło: protestowali pracownicy wielkich zakładów przemysłowych przeciwko podwyżkom cen żywności. Czy z tego wynika fakt, że na próżno szukać śladów inteligenckiego zaangażowania w zryw? Dlaczego stoczniovcy w Grudniu nie mieli swojego KOR-u?

Rafał Woś: Pytanie o KOR i inteligenckie zaangażowanie w działania opozycyjne jest zasadne, ponieważ po 1989 roku powstała pewna opowieść, snuta głównie przez przedstawicieli tejże inteligenckiej opozycji. Według tego dyskursu inteligencka presja nadawała dynamikę opozycji w PRL-u. Warto zauważyć, że niedawno przy okazji rocznicy Sierpnia ukazał się wymowny wywiad w „Gazecie Wyborczej”, przeprowadzony przez Pawła Smoleńskiego z Bogdanem Borusewiczem. Prowadzący wywiad próbował nakierować Borusewicza na następującą deklarację: „Sierpień był zrywem inteligenckim”. Udało

mu się to i właśnie pod takim sloganem została wyeksponowana jego wypowiedź. To dowodzi, że ciągle jesteśmy konfrontowani z historyczną perspektywą inteligentów opozycyjnych oraz ich spadkobierców. Ich głównym argumentem jest KOR, którego powstanie ma dowodzić, że presja inteligencka była wywierana już w latach 70. Jednak historia odsłania inną prawdę.

Inną, to znaczy? Czy aktywność inteligencji jest przeceniana?

Lata 70. to jest czas, kiedy opozycja inteligencka była w dużym odwrocie. Wielkie wrażenie wywarła na mnie kompleksowa biografia Jana Józefa Lipskiego „Jan Józef Lipski. Biografia źródłowa” autorstwa Łukasza Garbala. W książce ukazana jest polityczna pustka, w jaką wpadł Lipski i jego otoczenie w pierwszej połowie lat 70. Wątek ten przewija się także we wspomnieniach Kuronia, Michnika i innych działaczy opozycji. Z ich zapisów wyłania się przerażająca – oczywiście dla nich – wizja, w której byli zupełnie niepotrzebni. Analogicznie można wypowiedzieć się o latach 60., gdy działo się jeszcze mniej na tym polu. Inteligenci negocjują z Gomułką na wielu płaszczyznach, mają autentyczną nadzieję na znalezienie kompromisu. Jestem przekonany, że niemal sztandarowej dziś inteligenckiej opozycyjności w epoce PRL-u nadano znaczenie dopiero później. Heroizacja inteligencji w oczach opinii publicznej dokonała się już po upadku komunizmu. Natomiast wcześniej wyglądało to zupełnie inaczej.

To w końcu robotniczy Grudzień kończy epokę Gomułki.

Lata 60. i ich finał w postaci Grudnia 1970 r. ukazują to jak w soczewce. Inteligencja była wówczas niemal nieobecna, dla niej pokoleniowym doświadczeniem był marzec 1968 r., gdy komuniści ostatecznie skompromitowali się, sięgając po klisze antysemityzmu. To jednak nie Marzec, a Grudzień jest dziejowym momentem, gdy politycznie zaczyna się coś dziać. Nieprzypadkowo Gomułka musi odejść nie w 1968 Roku tylko w roku 1970. Zmierzam do tego, że Grudzień 1970 pokazuje prawdziwe mechanizmy historii; ujawnia, gdzie leżała główna siła opozycji i kto tak naprawdę wpływał na bieg historii w czasie wielkich, dynamicznych przemian nazywanych „polskimi miesiącami”.

Brak sprzężenia obu wspomnianych sił społecznych – robotników i inteligencji – przed sierpniem 1980 r. często jest podawany jako jedna z przyczyn ograniczonego powodzenia masowych demonstracji: „Solidarność” miała w końcu mieć „i głowę i mięśnie”. Czy przykład Grudnia 1970 nie dowodzi czegoś przeciwnego: skuteczności bezkompromisowej siły robotników?

Z pewnością nie zgadzam się z popularnym twierdzeniem, że to Sierpień był najdoskonalszą formą oporu i oddziaływania sił poza partyjnych na politykę w PRL-u. Wydaje mi się, że zarówno rok 1956, jak i 1970 udowodnił, że zmiany w komunizmie były możliwe do przeprowadzenia i to wcale nie bardziej powierzchowne, niż te, do których doprowadził Sierpień. Jeśli uczciwie przyjrzymy się historii, to okazuje się, że rok 1956 – gdy główną siłą napędową protestów również byli robotnicy – doprowadził do głębszych zmian, niż Sierpień. Protesty odbywały się w dużo trudniejszych okolicznościach geopolitycznych, a mimo tego doszło do zmiany niewyobrażalnej: część kierownictwa

partyjnego trafiła do władzy wprost z więzienia. Robotniczy Grudzień to również zakończenie epoki jednej ekipy rządzącej i nowe rozdanie kart.

W konsekwencji Grudnia 70. dochodzi do partyjnych roszad i wysunięcia Edwarda Gierka na pozycję I sekretarza PZPR. Jaki wpływ na dekadę jego rządów miały rozpoczynające je Wydarzenia na Wybrzeżu? Czy strach przed robotniczą rewoltą jest jednym z fundamentów jego technokratycznej polityki?

Z rozlicznych źródeł historycznych, w tym wspomnień uczestników tamtych zdarzeń wynika, że Gierek postanowił sobie, że nawet w przypadku najgorszego scenariusza nie będzie strzelał do ludzi i do końca swoich rządów trzymał się tej deklaracji. Różnicę jego postawy w porównaniu do Gomułki widać na każdym polu. Wystarczy spojrzeć na sposób reagowania milicji i całego aparatu państwowego na niepokoje społeczne. Jeżeli zestawimy wszystkie dekady PRL-u, widać wyraźnie, że dekada Gierka jest ze strony organów siłowych najmniej konfrontacyjna. Gierek potrafi się wycofać, umie odpuścić, gdy sytuacja robi się zbyt napięta. W okresie stalinizmu czy w czasach Gomułki nie było o tym mowy. Dopiero w latach 80. te dramaty wróciły w postaci stanu wojennego. Natomiast za Gierka podobne wydarzenia nie miały miejsca.

Czy to więc strach przed pracującymi masami determinował politykę Gierka?

Postawa Gierka wobec społecznych protestów wynika bezpośrednio z doświadczenia Grudnia. Ale nie nazwałbym tego strachem. Każdy polityk ma przecież swoją idée fixe. Dla Gomułki było to utrzymanie jakiejś formy niezależności od Związku Radzieckiego, z kolei Gierkowi przyświecało dążenie do poprawy poziomu życia obywateli Polski Ludowej, w którą on autentycznie wierzył. Krótko mówiąc, postawił sobie za cel budowę czegoś, co dzisiaj nazwalibyśmy państwem dobrobytu i w tym wąskim sensie Gierek był bardzo nowoczesnym politykiem. Dlatego nie uważam, że jego polityka była powodowana strachem – on po prostu ukierunkował swoją politykę na dobrobyt obywateli i starał się ją utrzymywać mimo różnych, czasem niesprzyjających, okoliczności. W jego przypadku nie powiedziałbym, żeby ten pomysł zrodził się w Grudniu. Wystarczy spojrzeć na to, jaką politykę wcześniej prowadził na Śląsku – tam też dążył do poprawy poziomu życia mieszkańców, a przecież nie było wcześniej żadnego wydarzenia podobnego do Grudnia '70.

A jednak z naszej rozmowy wyłania się obraz robotnika jako de facto wiodącej siły politycznej w PRL-u.

Tak też myślę i dlatego nie zgadzam się z twierdzeniem, że dopiero kiedy inteligenci pojawili się u boku robotników, to opozycja politycznie zaczynała mieć sens. Pod względem możliwości wywierania politycznej presji Polska przed rokiem 1989 była krajem paradoksalnie dużo bardziej podobnym do Zachodu, niż się nam wydaje. Był to jeszcze kraj sprzed dezindustrializacji, czyli zespołu procesów, które sprowadziły wpływ pojedynczego obywatela na to, co się dzieje w kraju

do – bez mała – czystej iluzji. Powiedziałbym nawet, że dzisiaj mamy jako jednostki jeszcze mniejszy wpływ na politykę Polski, niż było to w tamtym czasie.

Wielu osobom może się zjeżyć włos na głowie, gdy usłyszą te słowa: pracownik fabryki w PRL-u miał większy wpływ na politykę, niż współczesny obywatel.

Oczywiście każdy się oburzy, bo przecież teraz mamy wolne wybory, każde może pisać co chce na Facebooku, możemy zakładać partie czy choćby zgłosić swoją kandydaturę na stanowisko prezydenta. Teoretycznie to wszystko jest prawdą. Jednak w jakimś stopniu zdajemy sobie już sprawę, że jest to demokracja liberalna w wersji „demo”, jak kiedyś mówiło się o niepełnych wersjach gier komputerowych. W praktyce wiemy, że sama możliwość partycypacji zwykle nie przekłada się na faktyczny wpływ. Żeby zrobić taką karierę polityczną, jak choćby Szymon Hołownia, trzeba najpierw być osobowością telewizyjną, co daje szereg przepustek – w dziedzinie finansowania, dostępu do grup interesu czy zainteresowania opinii publicznej – całkowicie niedostępnych dla zwykłego człowieka. Przeciętny obywatel raz na kilka lat oddaje głos do urny wyborczej, a przez większość czasu zadowala się igrzyskami telewizyjno-medialne, które nazywamy współcześnie polityką. W PRL-u wyglądało to zupełnie inaczej. Jeżeli ktoś przed rokiem 1989 pracował w dużym przedsiębiorstwie i napotykał jakieś trudności w miejscu pracy, to miał do kogo się zgłosić: mógł wywierać nacisk przy pomocy istniejącej struktur związkowych. Oczywiście zaraz padnie zarzut, że związki te nie były niezależne, a w wielu miejscach były czystą fikcją. Odpowiadam: ale przynajmniej były jakiegokolwiek. Dzisiaj dla większości z nas jest to perspektywa niedostępna. Człowiek żyjący w warunkach współczesnego polskiego

kapitalizmu jest w swoim miejscu pracy zupełnie bezbronny. Jego dostępną dla niego formą uzyskania bezpieczeństwa w miejscu pracy jest wypracowanie sobie indywidualnej pozycji, która pozwoli mu pewnie działać w grze rynkowej.

Nie ukrywam, że frapującą mnie kwestią jest „okradzenie robotników z solidarności” jak nazwał to zjawisko Tadeusz Kowalik. Jak to możliwe, że ta gigantyczna i zdawałoby się bezkompromisowa siła społeczna, jaką byli pracownicy zakładów ciężkiego przemysłu, pozwolili wyręczyć się inteligencji w formułowaniu przemian ustrojowych? Czy mroczna lata po stanie wojennym wystarczyły, by spacyfikować ich społeczne postulaty i poczucie sprawczości?

Tak uważał Karol Modzelewski. Pod koniec jego życia miałem przyjemność przeprowadzić z nim rozmowę na ten temat. Właśnie wtedy powiedział mi, że stan wojenny był momentem, w którym Jaruzelski złamał kręgosłup pierwszej „Solidarności” i pokazał robotnikom ich miejsce w szeregu. Chciał im uzmysłwić, że rojenia o samostanowieniu są niemożliwe do zrealizowania. Późniejsze przeprowadzenie transformacji w formie politycznej ugody pomiędzy inteligencją częścią obozu solidarnościowego, a liberalnie nastawioną – a do tego w dużej mierze również inteligencją – częścią PZPR-u, przypieczętowało ten stan. Innymi słowy: zgodzono się na zmianę, ale przeprowadzono ją ponad głowami robotników. Plan Balcerowicza, który w dużej mierze stał w sprzeczności nie tylko z postulatami Sierpnia, ale również z postanowieniami okrągłego stołu, był ostatnim akordem wyłączenia mas „Solidarności” z procesu ustrojowych i gospodarczych przemian. Porównanie ówczesnych liderów z Margaret Thatcher jest w dużej mierze zasadne. Brytyjska premier

wypowiedziała otwartą wojnę angielskiej klasie robotniczej i wygrała ją dzięki szybkiemu uderzeniu w bazę przeciwnika, czyli zniszczeniu potencjału przemysłowego Wielkiej Brytanii. Nasi liberałowie z Solidarności i PZPR-u dokonali dokładnie tego samego, najpierw uderzając w polski przemysł, a potem godząc się na jego zamykanie, prywatyzację i zbyt wczesne wystawienie na konkurencję zagraniczną. Robotnicy zostali postawieni przed faktami dokonanymi. Wydaje mi się, że nie byłoby to możliwe, gdyby nie lata 80. i polityka generałów, czyli ostatniej ekipy PRL-u.

Czy ta postać transformacji po 1989 roku, gdzie robotnicy zostali politycznie wyręczeni przez inteligencję, w jakiejś mierze zaprogramowała cały dyskurs na temat mas ludowych w III RP? Mam na myśli w różny sposób artykułowane przekonanie, że „nieokrzese” a wręcz niebezpieczne masy powinny zawsze pozostawać pod paternalistycznym nadzorem inteligencji, która zawsze wie lepiej.

Bez wątplenia tak było. Trzeba zauważyć, że jest to dość uniwersalny proces również w kontekście międzynarodowym. W wielu krajach, które doświadczyły dezindustrializacji, działa się podobnie. Oczywiście mechanizm ten funkcjonował nie zawsze dokładnie tak samo, bo przecież transformacja na Zachodzie nie została przeprowadzona w sposób tak drastyczny i dotkliwy sposób, jak w Polsce. Jednak w ostatecznym rozrachunku i w Polsce, i na Zachodzie po wielu latach polityki paternalizmu pojawił się sprzeciw po stronie szerokich mas: pierwszy raz od kilkadziesiąt lat zaczęły mówić one „dość”. Jestem przekonany, że związane z tym jest zjawisko tzw. populizmu, które bezpośrednio wynika z zarysowanych przeze mnie procesów. Jest to zasadna odpowiedź na to, co się wydarzyło. Jeśli spojrzymy na historię

Polski i Zachodu w czasach neoliberalizmu, to gołym okiem dostrzeżemy, że frustracja i potrzeba reakcji mas będzie tylko wzrastać. Nie wiemy, w którą stronę te doświadczenia pokierują społecznymi nastrojami w przyszłości, jednak gdy spojrzymy wstecz – chociażby na Grudzień – to zobaczymy wyraźnie, co niosą dekady zaniedbań wobec postulatów szerokich rzesz społecznych.

Rozmawiał Karol Grabias



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego